

O. Waldemar Linke CP: Świat czy narracja? Kim był John R.R. Tolkien w Śródziemiu?

Kim był John Ronald Reuel Tolkien: człowiekiem czy elfem? A może poczciwym hobbitem snującym swą niezwykłą opowieść w zacisznej chatce? Warto byłoby wiedzieć. Ale jeszcze istotniejsze jest pytanie, o to, kim ten właśnie autor jest wobec swego dzieła szczególnego, jakim jest trylogia „Władca Pierścieni” – pisze o. Waldemar Linke CP w artykule dla „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Tolkien. Władca wyobraźni”.

Był uczonym, poetą i prozaikiem. To sporo jak na jednego człowieka, nawet z dość długim, bo osiemdziesięcioletnim życiorysem. Tym bardziej, że w każdej z tych dziedzin okazał się postacią nieprzeciętną. Urodził się na południowej półkuli, w Wolnym Państwie Orania, które przestało istnieć, gdy miał dziesięć lat. W niemieckiej, a potem i polskiej prasie pisało się nieco o jego warmińskim pochodzeniu. Z kultury był jednak Brytyjczykiem, choć zdecydowanie bardziej interesowała go Brytania przednormańska, niż świat za oknem domu w Birmingham czy w Oxfordzie. Fascynowały go badania nad językiem, ale nie współczesnym, lecz średniowiecznym. Żył w świecie, w którym chciał żyć. Mówił językiem, którym chciał mówić. Celem, który przyświecał mu jako pisarzowi, było „stworzyć sytuację, w której *elen síla lúmenn' omentielmo* byłoby zwyczajnym pozdrowieniem” (T.A. Shippey, *Droga do Śródziemia*, Warszawa 2001, s. 35). Poświadcza to też w liście do syna i kontynuatora jego dzieła (między innymi wydawcy *Silmarillionu*) Christophera Johna Reuela: „moja długa książka jest

próbą stworzenia świata, w którym forma języka miła mojemu osobistemu poczuciu estetyki mogłaby się wydawać rzeczywista” (J.R.R. Tolkien, *Listy*, Warszawa 2010, s. 432). Kim był John Ronald Reuel Tolkien: człowiekiem czy elfem? A może poczciwym hobbitem snującym swą niezwykłą opowieść w zacisznej chatce? Warto byłoby wiedzieć. Ale jeszcze istotniejsze jest pytanie, o to, kim ten właśnie autor jest wobec swego dzieła szczególnego, jakim jest trylogia *Władca Pierścieni*.

Autor, tekst i świat

Kwestia tożsamości historycznej, co łatwo zrozumieć w przypadku Tolkiena, nie była marginalna. Moglibyśmy pozostawić rozstrzygnięcie tego problemu jego własnej inicjatywie, podobnie jak kwestię ewentualnej słowiańskiej etymologii jego nazwiska, do której zdawał się mieć bardzo emocjonalny stosunek (np. List 349). O ile jednak nazwisko to kwestia użytkownika, to książki pisane przez pisarza obchodzą jednak jego czytelników. Sam J.R.R. Tolkien nie liczył na to, że będzie ich takie mnóstwo, ale stało się... Więc my, czytelnicy (jeśli nie wielbiciel) J.R.R. Tolkiena pytamy, kim jest w świecie, który stworzył? Nie jest obecny w tworzonym przez siebie świecie jako jedna z postaci. Nie utożsamia się z nikim z bogatego ich zbioru, do którego trzeba tworzyć specjalne przewodniki, by nie tylko zwykli odbiorcy, ale nawet tłumacze nie gubili się w ich gąszczu. Nie jest jednak nieobecny, bowiem już w powieści *Hobbit czyli tam i z powrotem*, a więc w już w latach 30. zeszłego stulecia, pozwala sobie na samym początku na ujawnienie się: „W tej historii opowiemy o Bagginsie, którego spotkała przygoda i który zrobił oraz powiedział wiele rzeczy niespodziewanych.

Mógł być wskutek tego utracić szacunek sąsiadów, ale zyskał... no, przekonacie się sami, czy coś zyskał w końcu” (J.R.R. Tolkien, *Hobbit czyli tam i z powrotem*, tłum. M. Skibniewska, Warszawa 1991, s. 5).

Historyk hobbitów musi, jak każdy inny, wdać się czasem w ryzykowną grę syntetyzowania i interpretacji źródeł, ich wartościowania i swego rodzaju krytyki

Jest to bardzo wyraźny nawias, w który bierze opowiadaną historię opowiedzianą „tylko dla zwykłej draki”, jak powiada Stanisław Staszewski w zakończeniu swej

sławnej *Celiny*. Pokazuje też, że dla rozmowy z czytelnikiem jest gotów porzucić w pół zdania swych bohaterów: „Matką naszego hobbita... ale co to jest hobbit? Zdaje mi się, że wymaga to wyjaśnienia. W dzisiejszych czasach bowiem hobbitów bardzo rzadko można spotkać: nie ma ich wiele, a poza tym unikają Dużych Ludzi – jak nazywają nas” (tamże, s. 5-6). Stawia się więc po stronie istot odciętych od świata hobbitów, elfów i wszystkich innych istot zaludniających jego powieści. Jednak to nie jedyna rola, jaką sobie wyznacza. We *Władcy Pierścieni* nie znajdziemy takiej sytuacji narracyjnej. Wywód dotyczący pochodzenia hobbitów otwiera całość dzieła, jednak autor występuje w nim jako kronikarz studiujący akuratnie źródła i niewidoczny za ich narracją. Historyk hobbitów musi, jak każdy inny, wdać się czasem w ryzykowną grę syntetyzowania i/czy interpretacji źródeł, ich wartościowania i swego rodzaju krytyki. O tym ostatnim rysie świadczy najwymowniej skonstruowane przez autora napięcie między wersją głównego wątku narracji w pamiętnikach Bilbo Bagginsa i „wersją prawdziwą” odtworzoną cierpliwie przez Gandalfa (J.R.R. Tolkien, *Drużyna Pierścienia*, Prolog, s. 17-20). Krytyka źródeł pojawia się też w

formie bardziej zaawansowanej, gdy mowa jest o dziejach i naturze głównego źródła do historii Wojny o Pierścień. Jest to historia bardzo złożona, pokazująca różne wątki tradycji przekazu tekstu oraz wielojęzyczność tego procesu (tamże, s. 21-24). Oryginał pierwotnej wersji tego dokumentu znajduje swe miejsce także w zakończeniu powieści (*Powrót króla...*, s. 365).

Autor *Władcy Pierścieni* nie tłumaczy jednak niczego wprost czytelnikowi, jak czyni to autor *Hobbita*. Wyraźnie jednak podkreśla, że jego znajomość kultury hobbitów nie jest oparta wyłącznie na wiedzy zapośredniczonej. „Hobbici przepadają za takimi wywodami [jak *Czerwona Księga Marchii Zachodniej* – W. L.], pod warunkiem, żeby były ścisłe: lubią znajdować w książkach to, co i bez nich dobrze wiedzą, ale przedstawione jasno, prosto i bez sprzeczności” (tamże, s. 12). Podobny charakter ma uwaga: „Hobbici bywają pracowici jak mrówki, gdy zajdzie potrzeba i gdy chcą” (J.R.R. Tolkien, *Powrót króla*, s. 357). Tak może mówić tylko antropolog badający kulturę hobbitów, nie historyk zamykający się w świecie źródeł. „Te czasy, Trzecia Era Śródziemia, to już dzisiaj odległa przeszłość i wszystkie kraje bardzo się od owej epoki zmieniły” (J.R.R. Tolkien, *Drużyna Pierścienia*, Prolog, s. 6).

Autor więc nie jest obojętny wobec upływu czasu w Śródziemiu. Nie czyni siebie uczestnikiem fabuły, czyli nie wpisuje się w czas opowiadany. Nie stawia się też jednak poza światem opowiadany. Stanowi jego część i tylko to daje mu podstawę do snucia swej powieści, legitymizuje go jako narratora, który nie uzurpuje sobie prawa do kreowania świata wyłącznie według swej woli, narzucając mu reguły swej wyobraźni. Tworząc założenia narracyjne swego świata, jednocześnie sam je przyjmuje. Jest zarówno twórcą, jak i tworzywem,

przełamując dychotomię zarysowaną tak ostro przez Filozofa granego przez Andrzeja Dobosza z Rejsu Marka Piwowskiego. Przeciwstawia się temu podejściu autora do tekstu i jego świata choćby relacja Meriadoka Brandybucka z jego *Zielnika Shire'u* – fikcyjnego źródła, na które powołuje się autor. „Poczynione przeze mnie podczas wielu wypraw na południe obserwacje przekonały mnie, że ojczyznę ziela fajkowego nie jest nasza część świata” (tamże, s. 13). Autor *Władcy Pierścieni* zupełnie świadomie operuje więc różnymi typami relacji autora do świata tekstu i dla siebie wybiera nieprzypadkową.

Czy ma to jakieś znaczenie poza czysto warsztatową decyzją pisarza? Czy wnosi to coś w świat czytelnika i w jego sposób funkcjonowania? Zdaje się, że jest to wbrew pozorom bardzo ważny element przesłania tekstu trylogii odróżniający ją od reszty literatury Śródziemia. We *Władcy Pierścieni* Tolkien wychodzi poza zamiar zbudowania alternatywnego świata z własną, konsekwentną i koherentną, ale całkowicie fikcyjną geografiją, historią, etnografią, lingwistyką. Trylogia to opowieść, w której autor zamyka się w świecie założeń, by otworzyć się na to, co przejście przez ten labirynt może z nim uczynić.

Król w Śródziemiu

Uwagi *O ustroju Shire'u* zawierają bardzo istotną refleksję na temat roli nieobecnego króla, emanacji tradycji władców Fornostu czyli Norbury. Choć dynastia wygasła, a ruiny jej twierdzy zarosły trawą, to postać króla jest żywa wśród hobbitów, ponieważ „przypisywali (...) owym dawnym królom wszystkie swoje podstawowe prawa; przestrzegali ich zazwyczaj z dobrej woli, ponieważ były to prawa (jak powiadali) starożytne i sprawiedliwe”. Natomiast „istoty, które nigdy nie słyszały o

królu” to synonim dzikusów i złych stworów (*Drużyna Pierścienia*. Prolog, s.14-15). Wydarzenia opowiedziane w trylogii prowadzą do wizji zjednoczonego, ale też i odrodzonego (w znaczeniu oczyszczenia z elementów metafizycznego zła) Królestwa (tamże, s. 20). Nowy ład Shire’u po Wojnie o Pierścień nie przynosi istotnych zmian ustrojowych. Społeczność hobbitów dalej opiera się na instytucjach lokalnej i niezbyt natarczywie działającej władzy samorządowych urzędników (burmistrzów, szeryfów). Czym więc jest w niej powrót króla? Powrotem owych praw, które stanowią o ładzie i harmonii.

Wydarzenia opowiedziane w trylogii prowadzą do wizji zjednoczonego, ale też i odrodzonego (w znaczeniu oczyszczenia z elementów metafizycznego zła) Królestwa

Czyżby więc owa przełomowa wojna, batalia wręcz eschatologiczna, była po to, aby było tak, jak było? Ów moralny minimalizm pozostawałby w ogromnym

dysonansie z ogromem przedsięwzięcia narracyjnego. Ponowne zadrzewienie przez Sama Gamgee ogołoczonego z drzew Shire’u też nie do końca satysfakcjonuje jako znak nowego świata. Ale to właśnie to działanie nabiera szczególnej roli, jeśli uwzględnimy, że jest ono połączone z „wsiewaniem” w ziemię cennego pułku z Lórien – Złotej Doliny. Po Wojnie o Pierścień i zwycięstwie sił dobra świat powraca do złotego wieku. Sama Galadriela podsumowuje ten czyn Sama słowami: „Słyszałam, że dobrze użyłeś mojego daru (...). Shire będzie teraz bardziej niż kiedykolwiek krainą błogosławioną i kochaną” (*Powrót króla...*, s. 367). Takim okrucieństwem Lothlórien w krainie hobbitów będzie też córka Sama i Róży Cotton, nazwana za radą Froda Elanor na pamiątkę pięknego kwiatu ze Złotej Doliny (*Powrót króla...*, s. 364). Oto

Sam Gamgee jest osobą, która wciela w siebie nowe, lepsze życie Shire po wojnie. Przywiązany do życia, Hobbit z jednej bryły, który nie chce być rozdarty między heroiczną przygodą a prostym szczęściem domowym, czyni z krainy hobbitów elfią Złotą Dolinę.

Co zaś z królem? Oto Merry i Pippin, Wędrowcy i bohaterowie (choć nie pierwszoplanowi z pewnością) wielkich wydarzeń otrzymują przydomek „królewiał” jako dowód na to, że hobbici jako kategoria istot, uzyskali nową jakość: mogą dosiadać koni (*Powrót króla*, s. 362). Jest to motyw tylko z pozoru marginalny, bowiem został on zapowiedziany już w prologu (*Drużyna Pierścienia*, s. 5). Ci dwaj wraz z Samem stanowią trójkę symbolizującą królewski status hobbitów zdobyty przez udział w przygodzie pierścienia (*Powrót króla*, s. 369).

To nie oni jednak są postaciami najważniejszymi w Shire, ale Frodo Baggins. To on uratował Shire, choć „nie dla siebie” (*Powrót króla*, s. 367). Jego ran nie da się zagoić, więc musi odejść. Pierścień naznaczył go swą niszczącą mocą, więc powrót króla oznacza, że wszyscy, którzy byli panami Pierścienia, nawet jako powiernicy niosący go ku miejscu, w którym można go unicestwić, muszą odejść wraz z Władcą Pierścieni. Jest to jednak odejście pogodne. Frodo, świadom swego losu i zmierzający do Szarej Przystani, to pogodny prorok, a Sam wyrasta na dziedzica *Czerwonej Księgi* – opowieści o ocalonym świecie. Ale Frodo to także postać odkupieńcza: ocala skarb dla innych wyrzekając się go dla siebie i akceptując jego stratę (*Powrót króla*, s. 367-368). *Czerwona Księga* jest opowiadaniem o jego ofierze, dzięki której król powraca i nastaje era szczęścia, choć na miarę Śródziemia, a więc pozbawiona jest rysu eschatologicznego. Ten zarezerwowany jest dla Froda i jego

towarzyszy ostatniej podróży ku kresowi zachodu. Nie ma tego rysu mesjańskiego czy eschatologicznego odejście elfów. Oni są po prostu częścią Trzeciej Ery i w Czwartej nie ma już dla nich miejsca

Para-Biblia Tolkiena

Warto przyrzeć się trylogii Tolkiena jako całości, objąć jednym spojrzeniem całą przestrzenną i historyczną panoramę Śródziemia końca Trzeciej i początku Czwartej Ery. Tropienie detali jest w tej więcej-niż-powieści fascynujące, ale drzewa nie mogą nam przysłonić lasu. Tym bardziej, że dopiero ów las – całość żyjąca swym organicznym życiem – coś znaczy i naprawdę fascynuje. *Władca Pierścieni* uczy czytelnika pewnego rodzaju kontaktu z literaturą, którego nie udało się raczej wnieść do fantasy jako gatunku poza nielicznymi wyjątkami (np. Marek Huberac z *Gniazdem światów* z jednej a *Miastami pod skałą* czy *Portalem zdobionym posągami* z drugiej strony). Tolkien uczy nas wierzyć w to, co czytamy oraz rozumieć swe życie w paradygmacie tego, w co wierzymy. Jest to wiedza pokorna, ponieważ uczy pochylenia się i to nie tylko nad tekstem, ale też wobec tekstu. Przeczytać Tolkiena to znaczy wejść w ten sam świat, w którym Frodo nauczył się królewskiej mądrości tracenia, by dać. To *ars regia* krańcowo różna od arogancji Wielkiego Projektu Świata forsowanego przez zrzeszonych lub niezrzeszonych iluminatów.

Zasadniczą trudnością w czytaniu Biblii jako tekstu świętego wydaje się być dla dzisiejszego czytelnika to, że nie umie on stanąć w postawie szacunku posuniętego do posłuszeństwa wobec tekstu. Czytanie trylogii Tolkiena to wspaniała szkoła w tym względzie. Tym cenniejsza, że Tolkien wie, iż nie jest ani czwartym Izajaszem, ani piątym

Ewangelistą, ani nawet drugim Janem z Patmos. Jest snującym swą opowieść Hobbitem zaciągającym się od czasu do czasu fajkowym zielem. Hobbitem przygotowującym się do rejsu ku kresowi zachodu.

fot. na licencji Creative Commons CC BY 3.0